

ks. Jan Sochoń, Warszawa

## Tajemnica kapłaństwa

Służba kapłańska – wyjątkowe powołanie... Nie oznacza to pomniejszenia wszystkich innych ludzkich powołań, gdyż każde zachowuje swą niepowtarzalność. Chodzi raczej o podkreślenie tego, że ksiądz otrzymał od Chrystusa sakramentalne upoważnienie do przedstawiania wiernym Słowa Boga, które stało się Ciałem tak, aby łatwo można było spostrzec, że to nie on sam tym Słowem dysponuje. Z opisanym faktem wiąże się coś naprawdę ważnego, a co chciałbym Czytelnikom „Mszy Świętej” przedstawić do głębszej medytacji.

Otóż, wszyscy tworzymy Kościół, którego istotę św. Paweł zawarł w przejmującej metaforze ciała Chrystusa. Oznacza to, że Chrystus jest obecny w Kościele nie w pewien symboliczny czy wirtualny sposób, lecz realnie, jako żywa Osoba. Dlatego – tak dobitnie powiedział jeden z teologów – Kościół ma nad każdym z nas swego rodzaju przewagę, stoi przed nami jako pierwszy. Nie chodzi tutaj o jakąś władzę czy określone formy zewnętrznego nacisku. Mam na myśli to, że przez sakramenty i słowo Kościół nas uczy i wspiera w chrześcijańskim życiu, w takim stopniu, w jakim jesteśmy gotowi te dary przyjmować. Jest więc – jak łatwo zauważyć – nieuchronnie hierarchiczny, a nawet ekskluzywny, ponieważ niektórych swoich członków uważa za bardziej wykształconych lub duchowo zaawansowanych.

Co prawda, wszyscy jesteśmy zjednoczeni w Chrystusie, lecz wspomniana przeze mnie metafora organizmu pozwala na stopniowalne zróżnicowanie funkcji. Zatem chcąc być księdzem szczęśliwym, trzeba odnaleźć swoje miejsce w Kościele, swoje małe powołanie w zasadniczym powołaniu do kapłaństwa i nigdy nie przeżywać druzgocącego niepokoju z tego powodu, że ktoś inny zyskał w Kościele znaczniejszą godność czy bardziej eksponowane miejsce.

Ale jak usłyszeć głos Boga? Samo pytanie wydaje się jako źle postawione. Ewentualnego głosu Boga nie sposób przecież po ludzku usłyszeć, jak nawoływać ojca czy przestróg matki. On „działa” na całego człowieka, pobudza do najbardziej nieprzewidzianych wyborów, które mogą dziwić także samego obdarowywanego. Na przykład Bóg sprawia, że uświadamiamy sobie bardzo wyraźnie, że On patrzy na nas w jakiś wyróżniony sposób. Ale może to pociągać za sobą dosyć niebezpieczne skutki. Kiedy bowiem jest się uznawanym za osobę wyjątkową, zyskuje się takie same szanse bycia obiektem wzgardy, co przedmiotem uwielbienia. Niemniej jednak chodzi tu o takie wybranie, które zamiast wykluczać innych, ogarnia ich ramieniem. Nie jest to wybór na zasadzie uznania czy konkurencji, ale serdeczności.

Żeby tak było, w całą tę sytuację musi włączyć się serce. Przecież każdy z nas – jak to pięknie sformułował Henri J. M. Nouwen – od zawsze istniał w sercu Boga. Na długo przed tym, gdy podziwiali nas rodzice, koledzy czy ktokolwiek inny, byliśmy już „wybrani”. Oczy miłości już wcześniej uznały nas za kogoś cennego, pięknego, mającego wieczną wartość. Kiedy nominuje miłość, robi to z doskonałą wrażliwością na unikalne piękno osoby wybranej i czyni to tak, aby nikt inny nie poczuł się odrzucony. Oto droga kapłańskiego działania. Kapłan powinien – zwłaszcza własnym przykładem – uczyć wszystkich, których spotyka w ramach swej służby, pewnych chrześcijańskich dyspozycji. Zebrałbym je w następujących powinnościach:

- należy przede wszystkim kochać i być posłusznym Kościołowi;
- nie poszukiwać miłości ludzkiej, nawet miłości najbliższych sobie, tylko dla siebie, ale ku chwale Boga, pamiętając, że pokora i gorliwość wzrastają razem;

- ukrywać swe cierpienia i łaski przed ludźmi;
- nie nasłuchiwać pochwał; mówić o sobie tylko z ważnych nadprzyrodzonych pobudek: dla dobra bliźnich lub przez posłuszeństwo;
- jak najmniej o sobie myśleć i odrzucać wyobrażenia dotyczące samych siebie lub sytuacji odnoszących się do nas;
- zdać się na Boże miłosierdzie i nie poddawać się zgorzknieniu;
- starać się, aby Eucharystia stała się nieodłączną częścią życia, skarbem codziennych dni;
- pielęgnować nabożeństwo do Matki Najświętszej, bo to Ona – Matka Boga współuczestniczy w naszym Odkupieniu.

Te wskazania, choć wydają się dość oczywiste, wymagają uwagi i niekiedy ascetycznego wysiłku. Zmuszają też do postawienia pytania: jak do każdego z nas z osobna dotarło Boże wezwanie? Nie mogę odpowiedzieć w żadnym innym imieniu, tylko w swoim własnym. Jednak sądzę, że wielu odnajdzie w nim swoje osobiste doświadczenie.

Uczyłem się słów *Ojciec nasz* równocześnie z chodzeniem i mówieniem. Trudno było wyobrazić sobie początek dnia bez złożonych rąk, niekiedy różańca odmawianego z mamą Franciszką, zwłaszcza wtedy, kiedy wędrowaliśmy do pracy w ogrodzie położonym poza miasteczkiem mojego urodzenia. Mama wówczas szeptała: „Jasiu, nie garb się, stawiaj prosto nogi, wyraźnie mów: *Zdrowaś, Maryjo*”. Być może wtedy poczęły świtać we mnie znaki Bożej życzliwości. Zauważyłem, że ziemia jest pełna miłości, a przyroda rozbłyska Bogiem. Ale tylko ci, którzy to widzą, decydują się na odważny krok i jak Mojżesz zdejmują sandały, chcąc dotrzeć do miejsca świętego.

Żebym więc mógł w swoim życiu odpiąć sandały, Bóg spojrział na mnie wzrokiem mego szkolnego katechety, księdza Piotra Bożyka. Przemówił – wiem, że brzmi to nieco sentymentalnie – zarówno w opiece, jaką otoczył on moje młode życie, jak i przez słowa spisane na kartach biblijnych opowieści. Powoli zacząłem dorastać do odpowiedzialności i przyjmować dyrektywy rodzącego się powołania. Lecz decyzji o wstąpieniu do seminarium nie podjąłem natychmiast. Wiedziałem, że niekiedy warto czekać, aby mogła umocnić się – nie od razu zresztą uświadamiana – zażyłość między Chrystusem a mną. Z niej czerpałem siły do ewangelicznej wierności, aby próbować być „rybakiem ludzi”. Nie było i nie jest to łatwe. Bo kiedy osiąga się duszpasterskie powodzenie, jest to zawsze niezasłużony owoc. Częściej, niestety, bywa tak, że Kościół musi cierpieć z powodu kapłańskich grzechów. Zbyt wielu jest takich, którzy zamiast ewangelicznego światła, przekazują ciemność i religijną gnuśność. Siebie wystawiają na pierwszy plan. Trzeba się wówczas za nich żarliwie wstawiać do Boga.

Wierni nie wymagają, abyśmy my – księża byli światowi, cokolwiek by to miało znaczyć, ale chcą kapłańskiej świętości, autentycznego znaku umiłowania Boga. Nazywają nas często „duchownymi”, czyli po grecku *pneumaticoi*, zatem tymi, którzy mają doświadczenie w Duchu Świętym i potrafią rozpoznać i rozbudzić w ludziach ukryte pokłady dobra i ufności w Bożą logikę życia. Dlatego nie zadawajmy się tym, co w praktyce Kościoła jest konwencjonalne, usztywnione rutyną. Musimy pozwolić, by nas przeniknęło tchnienie Boże, abyśmy mogli poznawać potrzeby stojącego przed nami, jedyne w swoim rodzaju człowieka. Nie przy udziale narzędzi psychologii, choć niekiedy i one mogą się okazać przydatne, ale dzięki otwarciu na łaskę żywego Boga. On nieustannie podtrzymuje świat w istnieniu, daje Siebie w sakramentach świętych, w Eucharystii. Znajduje się we wszelkim niesamolubnym goście miłości. Obdarzając powołaniem, Bóg oznajmia równocześnie, że życie w wierze nie polega na poszukiwaniu słów mających przybliżyć Bożą tajemnicę, ale przede wszystkim na konkretnym działaniu, przez które prześwieca błogosławieństwo.

Wyrazem wiary jest modlitwa. Kto modli się naprawdę, żyje w pełni. O własnych siłach możemy zaledwie unieść oczy ku niebu. W tym sensie wiary nie sposób wypracować

czy wymusić na sobie. Ona rodzi się z nieprzewidywalności życia, z wewnętrznego skurczu dosięgającego człowieka w chwili, gdy uświadomi sobie osobistą kruchość i w swej miłości dojrzy drobiny egoizmu. Apostołowie, ale też księża cieszący się urokiem kapłaństwa, musieli jakoś intuicyjnie o tym wiedzieć, skoro natychmiast poszli za Jezusem. Ikoną w tej sferze pozostaje Jan, ten pustynny i ten z Wieczernika. Podążajmy ich śladem...

Powołanie trzeba wskrzeszać wciąż na nowo. Jest ono trudem dorastania do coraz pełniejszej unii z ludźmi i Bogiem, zgodą na to, kim się jest, choć owo „kim się jest” nie oznacza przyzwolenia na grzechy i moralne potknięcia. Natomiast ważne pozostaje to, że zostaliśmy objęci Bożym ciepłem. Zatem w aurze wolności musimy naśladować Jezusa, a w przestrzeni tego naśladowania podpatrywać dobre czyny bliźnich. Nam, kapłanom niezbyt jeszcze obciążonym brzemieniem lat, starsi księża, jak chociażby ks. Piotr Bożyk obchodzący kapłańskie jubileusze, mogą być światłem rozjaśniającym powszednie trudy. W ogóle powinniśmy się od nich uczyć męznego stylu życia, bo przecież większość z nich doświadczyła zarówno cierpienia związanego z wojną światową, jak i koszmarem komunistycznego zniewolenia. Oni wyraźnie poświadczają, że w kapłaństwie rzeczą normalną jest brak powodzenia, niewygoda, poczucie społecznego niedoceny. Dlatego usłyszawszy wezwanie Jezusa, nie możemy godzić się na żaden kompromisowy sposób działania, zatrzymujący coś dla siebie, choćby tylko tę odrobinę – wydaje się – niegroźnych ludzkich satysfakcji.

Czy jesteśmy zdolni do takiego heroizmu? Czy żeby przyjąć dar kapłaństwa trzeba dosłownie porzucić wszystko? Tak. Owo „wszystko” sugeruje, że należy dać się ponieść żywiołowi wolności. Nie jest to wolność egoistyczna, wolność naszych pożądliwych uniesień ani nawet estetycznych kontemplacji. To wolność pochodząca od Chrystusa, która nie likwiduje walki człowieka ze sobą, z własnymi słabościami, ale prowadzi pod próg Eucharystii. W Eucharystii bowiem spełnia się w zupełności cud kapłańskiego wybrania. Jezus umiera i powraca do życia, aby ofiarować szczęście wieczności wszystkim, którzy tego zapragną. Kapłani stoją na straży tego Boskiego depozytu. Jeżeli o tym wiedzą, nie skuszają ich najbardziej pociągające miraży tego świata.

■